*Baśnie*

Hans Christian Andersen

1. Krzesiwo
2. Świniopas
3. Księżniczka na ziarnku grochu
4. Dziewczynka z zapałkami
5. Nowe szaty cesarza
6. Calineczka
7. Dzielny ołowiany żołnierzyk
8. Brzydkie kaczątko
9. Królowa śniegu

**Krzesiwo**

(fragment)

Maszerował żołnierz drogą: raz, dwa, raz, dwa. Miał na plecach tornister i u boku szablę, bo był na wojnie, a teraz wracał do domu. Na drodze spotkał starą wiedźmę Uch, jaka była obrzydliwa, dolna warga zwisała jej aż na piersi.

– Dobry wieczór, żołnierzu! – powiedziała wiedźma. – Jaką masz piękną szablę i jaki duży tornister, prawdziwy z ciebie żołnierz! Dostaniesz tyle pieniędzy, ile zechcesz!

– Bardzo dziękuję, stara wiedźmo – odpowiedział żołnierz.

–Widzisz to wielkie drzewo? – spytała wiedźma i wskazała na drzewo tuż obok. – Jest całkiem puste w środku. Wdrapiesz się na wierzchołek i zobaczysz dziurę, wciśniesz się przez nią i zejdziesz głęboko do środka. Obwiążę cię w pasie liną, żebym cię mogła wyciągnąć, gdy mnie zawołasz.

– A co mam robić w tym drzewie? – spytał żołnierz.

– Nabrać pieniędzy – powiedziała wiedźma. – Musisz wiedzieć, że gdy zejdziesz na dno drzewa, znajdziesz się w dużym korytarzu, jest tam całkiem jasno, bo pali się ponad tysiąc lamp. Zobaczysz troje drzwi; możesz je otworzyć, klucze są w dziurkach. Gdy wejdziesz do pierwszej izby, zobaczysz na środku podłogi wielką skrzynię, na której siedzi pies; ślepia ma wielkie jak filiżanki, ale tym się nie przejmuj. Dam ci mój niebieski fartuch w kratę, rozłóż go na ziemi, a potem złap prędko psa i posadź na fartuchu, otwórz skrzynię i weź sobie tyle szylingów, ile tylko chcesz. Są wszystkie z miedzi, ale jeśli wolisz srebro, to wejdź do następnej izby, siedzi tam pies, który ma oczy jak młyńskie koła, ale tym się nie przejmuj, posadź go na moim fartuchu i bierz pieniądze. Gdybyś jednak wolał złoto, to też możesz je mieć, i to tyle, ile tylko udźwigniesz, jeśli wejdziesz do trzeciej komnaty. Ale pies, który siedzi na skrzyni z pieniędzmi, ma oczy wielkie jak Okrągła Wieża. To dopiero psisko, mówię ci! Ale tym się w ogóle nie przejmuj. Posadź go tylko na moim fartuchu, a nic ci nie zrobi, i weź sobie ze skrzyni złota, ile tylko chcesz.

– To ci dopiero! – zawołał żołnierz. – Ale co mam tobie dać, stara wiedźmo, no bo przecież czegoś będziesz chciała.

–Nie – odparła wiedźma – nie chcę ani grosika. Musisz mi tylko przynieść stare krzesiwo, którego zapomniała moja babka, gdy była tam ostatni raz.

– Dobra! – powiedział żołnierz. – To obwiązuj mnie liną.

– Gotowe – powiedziała wiedźma. – A tu masz mój niebieski fartuch w kratkę.

I żołnierz wdrapał się na drzewo, spuścił się przez dziurę w dół, i tak jak mówiła wiedźma, znalazł się w wielkim korytarzu, gdzie płonęły setki lamp. Otworzył pierwsze drzwi. Uff! Siedział tam pies ze ślepiami wielkimi jak filiżanki i się na niego gapił.

– Grzeczny piesek – powiedział żołnierz, posadził psa na fartuchu wiedźmy i wziął tyle miedzianych szylingów, ile tylko mógł zmieścić w kieszeni, a potem zamknął skrzynię, z powrotem posadził na niej psa i wszedł do drugiej izby. Ojej! Siedział tam pies z oczami jak młyńskie koła!

– Nie gap się tak na mnie – powiedział żołnierz – bo cię oczy rozbolą! – I posadził psa na fartuchu wiedźmy. A kiedy zobaczył w skrzyni ogromną ilość srebrnych monet, to wyrzucił wszystkie miedziaki i napełnił kieszenie i tornister czystym srebrem. A potem wszedł do trzeciej izby. Och, to było straszne! Pies w tej izbie miał rzeczywiście oczy jak okrągłe wieże, kręciły się niczym koła!

– Dobry wieczór – powiedział żołnierz i przyłożył palce do czapki, bo takiego psa jeszcze nigdy nie widział, ale gdy trochę na niego popatrzył, to pomyślał, że dość już tego, postawił psa na podłodze i otworzył skrzynię. Boże! Ile tam było złota! Mógłby za nie kupić całą Kopenhagę, cukrowe świnki u przekupek i wszystkie cynowe żołnierzyki, bicze i konie na biegunach, jakie tylko można znaleźć na tym świecie! O, było tam mnóstwo pieniędzy. Żołnierz wyrzucił całe srebro, którym wcześniej napełnił kieszenie i tornister, i zamiast tego nabrał złota, ba, wypełnił nim kieszenie, tornister, czapkę i buty, że ledwie mógł iść. Teraz miał pieniądze! Psa posadził na skrzyni, zatrzasnął drzwi i zawołał w górę drzewa:

–Wyciągnij mnie, stara wiedźmo!

– Masz krzesiwo? – spytała wiedźma.

– Prawda – powiedział żołnierz – całkiem zapomniałem. – I poszedł wziąć krzesiwo. Wiedźma wyciągnęła go i znów stał na drodze, kieszenie, buty, tornister i czapkę miał pełne pieniędzy.

– Na co ci to krzesiwo? – spytał.

–Nic ci do tego! – powiedziała wiedźma. – Masz przecież pieniądze. Daj mi tylko krzesiwo.

– Fiu bździu! – żołnierz na to. – Mów mi tu zaraz, po co ci krzesiwo, albo wyciągnę szablę i utnę ci głowę!

– Nie powiem! – odparła wiedźma. Więc uciął jej głowę. I wiedźma leżała na ziemi. A żołnierz zawiązał pieniądze w jej fartuch, wziął go na plecy jak worek, krzesiwo schował do kieszeni i pomaszerował prosto do miasta. Było to piękne miasto, i żołnierz zaszedł do najpiękniejszej oberży, zażądał najlepszych pokoi i swojego ulubionego jedzenia, bo był teraz bogaty, skoro miał tyle pieniędzy. Służący, który czyścił mu buty, zauważył co prawda, że ten bogaty pan nosi okropne stare buciory, bo żołnierz nie miał jeszcze czasu kupić sobie nowych; następnego dnia miał już buty jak się patrzy i piękne ubrania. Teraz z żołnierza zrobił się wytworny pan i w karczmie opowiadano mu o wszystkich pięknych miejscach miasta i o królu, i o tym, jaka śliczna jest jego córka.

– Gdzie można ją zobaczyć? – spytał żołnierz.

– W ogóle nie można jej zobaczyć! – powiedzieli chórem.– Mieszka w wielkim miedzianym zamku, a dookoła są mury i pełno wież. Nikomu poza królem nie wolno tam wchodzić, bo ktoś wywróżył, że wyjdzie za prostego żołnierza, a królowi to nie w smak.

„Warto by ją zobaczyć” – pomyślał żołnierz, ale przecieżby mu nie pozwolono. Żył sobie teraz wesoło, chodził do teatru, jeździł powozem po królewskim ogrodzie i mnóstwo pieniędzy dawał biedakom, to pięknie z jego strony; pewnie pamiętał z dawnych czasów, jak źle było nie mieć ani grosza.

Teraz był bogaty, miał piękne stroje i tylu przyjaciół. Wszyscy mówili, że jest sympatyczny, prawdziwy z niego kawaler; bardzo mu się to podobało. Ale ponieważ każdego dnia rozdawał pieniądze, a nowych mu nie przybywało, na koniec zostały mu tylko dwa szylingi, i musiał się wynieść z pięknych pokojów, w których mieszkał, na górę do małej izdebki pod samym dachem; sam sobie czyścił buty i zszywał je igłą do cerowania. I nie odwiedzali go przyjaciele, bo tak wysoko trzeba się było wspinać po schodach.

Był ciemny wieczór i żołnierz nawet nie mógł kupić świecy; nagle przypomniał sobie, że w krzesiwie z tego spróchniałego drzewa, do którego pomogła mu wejść wiedźma, był ogarek świecy. Wyciągnął krzesiwo i ogarek, a gdy tylko uderzył o krzemień i krzesiwo sypnęło iskrami, gwałtownie otworzyły się drzwi i stanął przed nim pies o oczach wielkich jak filiżanki, którego spotkał w drzewie, i powiedział:

– Czego mój pan sobie życzy?

– Co takiego?! – zawołał żołnierz. – Jakie dziwne krzesiwo! Czy to znaczy, że mogę dostać, cokolwiek zechcę? Załatw mi trochę pieniędzy – powiedział do psa, a pies szur, szur, i już go nie było. Hop! – i już był z powrotem z woreczkiem pieniędzy w pysku. Teraz żołnierz zrozumiał, co to za cudowne krzesiwo. Uderzył o krzemień raz, a zjawiał się pies, który siedział na skrzyni z miedziakami, uderzył dwa razy, a zjawiał się ten od srebrnych monet, uderzył trzy razy i zjawiał się pies, który miał złoto. Żołnierz znów wprowadził się do pięknych pokoi, szykownie się ubierał, a przyjaciele znowu go poznawali i tak bardzo go lubili.

**Świniopas**

Był sobie raz ubogi książę. Miał księstwo, maleńkie, lecz wystarczająco duże, by mógł się ożenić. A żenić się bardzo chciał. Było to co prawda dość śmiałe z jego strony, że odważył się spytać córkę cesarza: „Czy zechcesz mnie?”, ale się odważył, bo jego imię było sławne w świecie, setki księżniczek powiedziałyby „tak”, ale zobaczmy, czy zgodziła się cesarska córka.

Zatem posłuchajcie.

Na grobie ojca księcia rosło różane drzewko, bardzo piękne różane drzewko. Zakwitało tylko raz na pięć lat, i to jednym jedynym kwiatem. Ale była to róża, która pachniała tak słodko, że kto ją powąchał, zapominał o wszystkich swoich troskach i zmartwieniach. Książę miał też słowika, który śpiewał, jakby w gardziołku miał wszystkie najpiękniejsze melodie. Tę właśnie różę i tego słowika miała otrzymać księżniczka. Prezenty zapakowano więc do dużych srebrnych szkatułek i posłano je księżniczce.

Cesarz rozkazał przynieść szkatułki do wielkiej sali, gdzie księżniczka bawiła się z damami dworu w „gości”; przez cały boży dzień nie robiły nic innego. Gdy ujrzała szkatułki, zaklaskała z radości. – Żeby to był maleńki kotek! – zawołała. – Ale jej oczom ukazała się piękna róża.

– Och, jak ładnie zrobiona! – wykrzyknęły damy dworu.

– Jest więcej niż ładna – powiedział cesarz. – Jest bardzo ładna.

Ale księżniczka dotknęła róży i już była bliska płaczu. – A fe, papo! – zawołała. – Ona nie jest sztuczna, tylko prawdziwa!

– Zanim zaczniemy się złościć, zobaczmy, co jest w drugiej szkatułce – powiedział cesarz, i pokazano słowika. Zaśpiewał tak pięknie, że w pierwszej chwili nic złego nie można było o nim powiedzieć.

– *Superbe! Charmant![[1]](#footnote-2)* – wykrzykiwały damy, bo wszystkie mówiły po francusku, jedna gorzej od drugiej.

– Jakże mi ten ptak przypomina pozytywkę świętej pamięci cesarzowej – powiedział pewien starszy dworzanin. – Ten sam ton, ten sam wyraz.

– O, tak – powiedział cesarz i zapłakał jak małe dziecko.

– Ale nie jest chyba prawdziwy? – spytała księżniczka.

– Tak, to prawdziwy ptak! – stwierdzili ludzie, którzy go przynieśli.

– No to niech sobie leci – powiedziała księżniczka i nie zgodziła się na spotkanie z księciem.

Lecz książę się nie zniechęcił. Posmarował sobie twarz na czarno i na brązowo, naciągnął na oczy czapkę i zapukał do drzwi.

– Dzień dobry, cesarzu – powiedział. – Czy mógłbym służyć tu, na zamku?

– Och, tak wielu szuka tu pracy – odpowiedział cesarz. – Ale zastanówmy się. Potrzebuję kogoś do pasania świń, bo świń mamy dużo.

I tak książę został zatrudniony jako cesarski świniopas. Dostał małą, brzydką izdebkę obok chlewu i w niej miał zamieszkać. Przez cały dzień pracował, a kiedy nadszedł wieczór, zrobił mały garnuszek, który miał wkoło dzwoneczki. Gdy tylko w garnuszku się gotowało, dzwoneczki cudnie wydzwaniały starą melodię:

*Ach, kochany Augustynie,*

*Wszystko minie, minie, minie!*

Ale najdziwniejsze było to, że gdy się trzymało palec nad parą, to od razu można było poczuć, jakie potrawy gotowano na wszystkich piecach w mieście; widzicie, to coś całkiem innego niż jakaś tam róża. Księżniczka była właśnie na spacerze ze swoimi damami dworu i gdy usłyszała melodię, przystanęła. Wyglądała na bardzo ucieszoną, bo ona też umiała grać „*Ach, kochany Augustynie”;* tę jedną, jedyną melodię potrafiła zagrać, i to jednym palcem.

– To przecież melodia, którą gram! – wykrzyknęła. – To musi być wykształcony świniopas! Słuchajcie no! Idźcie do niego i spytajcie, ile kosztuje ten instrument. No i jedna z dam musiała pójść, ale włożyła na nogi drewniaki.

– Ile chcesz za ten garnek? – spytała.

– Dziesięć pocałunków księżniczki – odpowiedział świniopas.

– Niech Bóg broni! – zawołała dama dworu.

– Ani jednego mniej! – odparł świniopas.

– No, co mówił? – spytała księżniczka.

– Nie mogę tego powiedzieć, to okropne! – No to szepnij! – powiedziała księżniczka. No i dama dworu szepnęła.

– Jaki on niegrzeczny! – zawołała księżniczka i natychmiast chciała odejść. Ale gdy uszła kawałek, dzwoneczki pięknie zabrzmiały:

*Ach, kochany Augustynie,*

*Wszystko minie, minie, minie!*

– Posłuchaj! – powiedziała księżniczka. – Spytaj go, czy przyjmie dziesięć pocałunków moich dam dworu.

– Nie, dziękuję – odparł świniopas. – Dziesięć pocałunków księżniczki albo zatrzymuję garnek.

– Co za okropna historia! – zawołała księżniczka. – No to musicie zasłonić mnie tak, żeby nikt tego nie widział.

Damy dworu otoczyły ją i rozpostarły suknie, i świniopas dostał tych dziesięć całusów, a księżniczka garnek. Ach, to dopiero była radość! W garnku gotowało się przez cały wieczór i przez cały następny dzień; nie było ani jednego pieca w mieście, o którym by nie wiedziały, co się na nim gotuje, i u szambelana, i u szewca. Damy tańczyły i klaskały.

– Wiemy, kto będzie jadł słodka zupę i naleśniki! Wiemy, kto będzie jadł sznycel z kaszą! Jakie to interesujące!

– Niezwykle interesujące! – powiedziała ochmistrzyni.

– Tylko trzymajcie język za zębami, bo jestem cesarską córką.

– Niech nas Bóg broni! – zawołały damy.

Świniopas, to jest książę, ale przecież damy były przekonane, że jest prawdziwym świniopasem, nie marnował czasu, bez przerwy coś majstrował. Zrobił grzechotkę. Gdy się nią potrząsało, dźwięczały wszystkie walce, galopki i polki, jakie znano od początku świata.

– Ależ to jest *superbe*! – zawołała księżniczka, która właśnie znalazła się w pobliżu. – Nigdy nie słyszałam piękniejszej kompozycji! Słuchajcie! Idźcie go spytać, ile kosztuje ten instrument. Ale żadnych pocałunków!

– Chce sto pocałunków księżniczki! – powiedziała dama, która poszła zapytać.

– Chyba zwariował! – zawołała księżniczka i ruszyła z miejsca. Ale gdy uszła parę kroków, zatrzymała się. – Trzeba wspierać sztukę – powiedziała. – Jestem córką cesarza! Powiedzcie mu, że może dostać dziesięć całusów, tak jak wczoraj, a resztę od dam dworu.

– Ale my wolałybyśmy nie! – poprosiły damy.

– Gadanie! – powiedziała księżniczka. – Poza tym, jeśli ja mogę go całować, to i wy możecie. Nie zapominajcie, że daję wam pensję i utrzymanie.

No i damy znów musiały iść do świniopasa.

– Sto pocałunków księżniczki! – powiedział. – Albo każdy zostaje przy swoim.

– Zasłaniajcie! – zarządziła księżniczka, i damy ją zasłoniły, a książę całował.

– Co to za zbiegowisko koło chlewu? – spytał cesarz, który wyszedł na balkon. Przetarł oczy i założył okulary. – To przecież damy dworu! Muszę do nich zejść. – I naciągnął na pięty przydeptane kapcie. Ho, ho! Jak się śpieszył! Gdy tylko znalazł się na podwórku, zaczął iść cichutko, a damy dworu były tak zajęte liczeniem pocałunków, żeby było uczciwie i żeby świniopas nie dostał ich za dużo, ale i nie za mało, że w ogóle nie zauważyły cesarza. A cesarz stanął na palcach.

– A to co takiego?! – wykrzyknął, gdy zobaczył, że się całują. I trzepnął ich po głowach swoim kapciem, akurat gdy świniopas dostawał osiemdziesiątego szóstego całusa.

– *Precz!* – zawołał cesarz, bo był zły, i zarówno świniopas, jak i księżniczka zostali wygnani poza granicę cesarstwa. Stała tam teraz i płakała, świniopas się zżymał, a z nieba strugami lał się deszcz.

– O, ja nieszczęsna! – biadała księżniczka. – że też nie wzięłam za męża tego pięknego księcia! Och, jaka jestem nieszczęśliwa! A świniopas schował się za drzewo, wytarł z twarzy czernidło, zrzucił z siebie ubogie odzienie i ukazał się w swych książęcych szatach, tak piękny, że księżniczka musiała się na jego widok ukłonić.

– Teraz to ja tobą gardzę! – powiedział. – Nie chciałaś uczciwego księcia. Nie poznałaś się na róży i na słowiku, ale świniopasa mogłaś całować, żeby dostać zabawkę. A teraz dobrze ci tak!

I odszedł do swojego księstwa, zamknął przed nią drzwi i założył łańcuch; niech sobie stoi na zewnątrz i śpiewa:

*Ach, kochany Augustynie,*

*Wszystko minie, minie, minie!*

**Księżniczka na ziarnku grochu**

Był raz sobie pewien książę, który chciał pojąć za żonę prawdziwą księżniczkę. Jeździł po całym świecie i szukał tej jedynej, ale zawsze coś stawało mu na przeszkodzie. Nie brakowało co prawda księżniczek, ale młodzieniec patrząc na wszystkie te piękne panny, nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie są one stuprocentowymi księżniczkami.

Nie znalazłszy tej, której szukał, wrócił do ojcowskiego zamku smutny i zniechęcony. Aż pewnego wieczora rozszalała się burza. Błyskało się i grzmiało, a deszcz lał się strumieniami. Nagle ktoś zastukał do bram miasta.

Gdy je otworzono, oczom zdumionych mieszkańców ukazała się młoda dziewczyna. Jak ona wyglądała! Woda ściekała z jej włosów i sukni, lała się do trzewików i wytryskiwała z ich końców w górę. Nie był to jednak koniec niespodzianek na ten wieczór – nieznajoma oświadczyła, że jest tą jedyną prawdziwą, poszukiwaną księżniczką!

„Ano, przekonamy się zaraz” – pomyślała stara królowa, ale głośno nie rzekła nic. Poszła razem ze służkami, które przygotowywały sypialnię dla niespodziewanego gościa, zdjęła z łóżka całą pościel i położyła na deskach jedno małe ziarenko grochu. Potem przykryła je dwudziestoma materacami i jeszcze ułożyła na nich dwanaście puchowych pierzyn, jedną na drugiej. Łóżko dla księżniczki było gotowe.

Rano królowa spytała ją, czy dobrze spała.

– O, niestety nie! – odparła księżniczka. – Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Leżałam na czymś strasznie twardym, aż mam całe ciało posiniaczone i obolałe.

Po tym poznano, że to rzeczywiście jest prawdziwa księżniczka. Bo tylko prawdziwa księżniczka mogła poczuć ziarenko grochu przez dwadzieścia materacy i dwanaście puchowych pierzyn!

Uszczęśliwiony książę wziął ją za żonę, a ziarnko grochu umieszczono w państwowym muzeum osobliwości i pewnie jest ono tam do dziś (o ile gdzieś nie przepadło).

Taka to jest prawdziwa historia o prawdziwej księżniczce.

**Dziewczynka z zapałkami**

Było bardzo zimno; śnieg padał i zaczynało się już ściemniać; był ostatni dzień w roku, wigilia Nowego Roku. W tym chłodzie i w tej ciemności szła ulicami biedna dziewczynka z gołą głową i boso; miała wprawdzie trzewiki na nogach, kiedy wychodziła z domu, ale co to znaczyło! To były bardzo duże trzewiki, nawet jej matka ostatnio je wkładała, tak były duże, i mała zgubiła je zaraz, przebiegając ulicę, którą pędem przejeżdżały dwa wozy. Jednego trzewika nie mogła wcale znaleźć, a z drugim uciekł jakiś urwis; wołał, że przyda mu się on na kołyskę, kiedy już będzie miał dziecko.

Szła więc dziewczynka boso, stąpała nóżkami, które poczerwieniały i zsiniały z zimna; w starym fartuchu niosła zawiniętą całą masę zapałek, a jedną wiązkę trzymała w ręku; przez cały dzień nie sprzedała ani jednej; nikt jej nie dał przez cały dzień ani grosika; szła taka głodna i zmarznięta i wyglądała taka smutna, biedactwo! Płatki śniegu padały jej na długie, jasne włosy, które tak pięknie zwijały się na karku, ale ona nie myślała wcale o tej ozdobie.

Ze wszystkich okien naokoło połyskiwały światła i tak miło pachniało na ulicy pieczonymi gęśmi.

„To przecież jest wigilia Nowego Roku" – pomyślała dziewczynka.

W kącie między dwoma domami, z których jeden bardziej wysuwał się na ulicę, usiadła i skurczyła się cała; małe nożyny podciągnęła pod siebie, ale marzła coraz bardziej, a w domu nie mogła się pokazać, bo przecież nie sprzedała ani jednej zapałki, nie dostała ani grosza, ojciec by ją zabił, a w domu było tak samo zimno, mieszkali na strychu pod samym dachem i wiatr hulał po izbie, chociaż największe szpary w dachu zatkane były słomą i gałganami. Jej małe ręce prawie całkiem zamarzły z tego chłodu. Ach, jedna mała zapałka, jakby to dobrze było! Żeby tak wyciągnąć jedną zapałkę z wiązki, potrzeć ją o ścianę i tylko ogrzać paluszki! Wyciągnęła jedną i "trzask!", jak się iskrzy, jak płonie mały ciepły, jasny płomyczek, niby mała świeczka otoczona dłońmi! Dziwna to była świeca; dziewczynce zdawało się, że siedzi przed wielkim, żelaznym piecem o mosiężnych drzwiczkach i ozdobach; ogień palił się w nim tak łaskawie i grzał tak przyjemnie; ach, jakież to było rozkoszne! Dziewczynka wyciągnęła przed siebie nóżki, aby je rozgrzać – a tu płomień zgasł. Piec znikł – a ona siedziała z niedopałkiem siarnika w dłoni.

Zapaliła nowy, palił się i błyszczał, a gdzie cień padł na ścianę, stała się ona przejrzysta jak muślin; ujrzała wnętrze pokoju, gdzie stał stół przykryty białym, błyszczącym obrusem, nakryty piękną porcelaną, a na półmisku smacznie dymiła pieczona gęś, nadziana śliwkami i jabłkami; a co jeszcze było wspanialsze, gęś zeskoczyła z półmiska i zaczęła się czołgać po podłodze, z widelcem i nożem wbitym w grzbiet; doczołgała się aż do biednej dziewczynki; aż tu nagle zgasła zapałka i widać tylko było nieprzejrzystą, zimną ścianę.

Zapaliła nowy siarnik. I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrzała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazki, takie, jakie zdobiły okna sklepów, spoglądały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki – ale tu zgasła zapałka; mnóstwo światełek choinki wznosiło się ku górze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzała ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długi, błyszczący ślad.

– Ktoś umarł! – powiedziała malutka, gdyż jej stara babka, która jedyna okazywała jej serce, ale już umarła, powiadała zawsze, że kiedy gwiazdka spada, dusza ludzka wstępuje do Boga.

Dziewczynka znowu potarła siarnikiem o ścianę, zajaśniało dookoła i w tym blasku stanęła przed nią stara babunia, taka łagodna, taka jasna, taka błyszcząca i taka kochana.

– Babuniu! – zawołała dziewczynka – o, zabierz mnie z sobą! Kiedy zapałka zgaśnie, znikniesz jak ciepły piec, jak gąska pieczona i jak wspaniała olbrzymia choinka! – i szybko potarła wszystkie zapałki, jakie zostały w wiązce, chciała jak najdłużej zatrzymać przy sobie babkę, i zapałki zabłysły takim blaskiem, iż stało się jaśniej niż za dnia. Babunia nigdy przedtem nie była taka piękna i taka wielka; chwyciła dziewczynkę w ramiona i poleciały w blasku i w radości wysoko, wysoko; a tam już nie było ani chłodu, ani głodu, ani strachu – bowiem były u Boga.

A kiedy nastał zimny ranek, w kąciku przy domu siedziała dziewczynka z czerwonymi policzkami, z uśmiechem na twarzy – nieżywa: zamarzła na śmierć ostatniego wieczora minionego roku. Ranek noworoczny oświetlił małego trupka trzymającego w ręku zapałki, z których garść była spalona. Chciała się ogrzać, powiadano; ale nikt nie miał pojęcia o tym, jak piękne rzeczy widziała dziewczynka i w jakim blasku wstąpiła ona razem ze starą babką w szczęśliwość Nowego Roku.

**Nowe szaty cesarza**

Przed wielu laty żył sobie cesarz, który tak bardzo lubił nowe, wspaniałe szaty, że wszystkie pieniądze wydawał na stroje. Nie dbał o swoich żołnierzy, nie zależało mu na teatrze ani na łowach, szło mu tylko o to, by obnosić przed ludźmi coraz to nowe stroje. Na każdą godzinę dnia miał inne ubranie, i tak samo, jak się mówi o królu, że jest na naradzie, mówiono o nim zawsze: *„Cesarz jest w garderobie"*.

W wielkim mieście, gdzie mieszkał cesarz, było bardzo wesoło; codziennie przyjeżdżało wielu cudzoziemców. Pewnego dnia przybyło tam dwu oszustów, podali się za tkaczy i powiedzieli, że potrafią tkać najpiękniejsze materie, jakie sobie tylko można wymarzyć. Nie tylko barwy i wzór miały być niezwykle piękne, ale także szaty uszyte z tej tkaniny miały cudowną własność: były niewidzialne dla każdego, kto nie nadawał się do swego urzędu albo też był zupełnie głupi.

„To rzeczywiście wspaniałe szaty! – pomyślał cesarz. – Gdybym je miał na sobie, mógłbym się przekonać, którzy ludzie w moim państwie nie nadają się do swoich urzędów; odróżniałbym mądrych od głupich. Tak, ten materiał muszą mi utkać jak najprędzej”. I dał obu oszustom z góry dużo pieniędzy, aby mogli rozpocząć pracę.

Oszuści ustawili warsztaty tkackie, udawali, że pracują, ale nie mieli nic na warsztatach. Zażądali od razu najdroższych jedwabi i najwspanialszego złota; chowali je do własnej kieszeni i pracowali przy pustych warsztatach, i to często do późnej nocy.

„Chciałbym jednak wiedzieć, jak daleko postąpiła robota” – pomyślał cesarz, ale zrobiło mu się nieswojo na myśl, że człowiek głupi albo niezdatny do urzędu, który piastuje, nic nie zobaczy; uspokoił się wprawdzie, że o siebie nie potrzebuje się obawiać, ale postanowił jednak posłać kogoś, aby dowiedzieć się, jak rzeczy stoją. Wszyscy ludzie w mieście wiedzieli, jaką cudowną własność miała mieć ta materia, i wszyscy pragnęli się przekonać, że ich sąsiad jest głupi lub zły.

„Poślę do tkaczy mojego starego, poczciwego ministra – pomyślał cesarz – ten będzie mógł najlepiej ocenić ich pracę, bo ma dużo rozumu i nikt lepiej niż on nie sprawuje swego urzędu". I oto stary, poczciwy minister poszedł do sali, gdzie siedzieli dwaj oszuści i pracowali przy pustych warsztatach tkackich. „Boże drogi – pomyślał stary minister i wytrzeszczył oczy – ależ ja nic nie widzę". Ale głośno nie przyznał się do tego.

Obaj oszuści prosili go, aby łaskawie zbliżył się do nich, i pytali, czy wzór nie jest piękny i barwa wspaniała. Wskazywali przy tym na puste warsztaty i biedny, stary minister otwierał w dalszym ciągu oczy, ale nie mógł nic dostrzec, bo nic tam nie było.

„Wielki Boże! – pomyślał. – Czyżbym był głupi? Tego nigdy nie przypuszczałem i nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Czyżbym nie nadawał się do swego urzędu? Nie, nie mogę nikomu powiedzieć, że nie widziałem tkaniny".

– No i co, nic pan nie mówi? – powiedział jeden z tkaczy.

– O, to jest śliczne, bardzo ładne! – powiedział stary minister i patrzał przez okulary. – Co za wzór i jakie kolory. Tak, powiem cesarzowi, że mi się tkanina niezwykle podoba.

– To nas cieszy – powiedzieli tkacze i wymieniali nazwę barwy oraz objaśniali rysunek wzorów.

Stary minister pilnie uważał, aby móc dokładnie powtórzyć wszystko cesarzowi, co też uczynił. Po czym oszuści zażądali więcej pieniędzy i nowego zapasu jedwabiu i złota, potrzebnego jakoby do dalszej pracy. Ale znów wszystko schowali do kieszeni, a na warsztatach tkackich nie było ani jednej nitki. Pomimo to siedzieli jak przedtem przy pustych warsztatach.

Cesarz posłał wkrótce innego uczciwego urzędnika, aby zobaczył, jak postępuje praca tkaczy i czy tkanina będzie już wkrótce skończona. Powiodło mu się zupełnie tak samo jak ministrowi. Patrzał i patrzał, ale ponieważ nie było nic na warsztatach, nie mógł więc nic zobaczyć.

– Czyż to nie cudowna tkanina? – zapytali obaj oszuści i pokazali mu, objaśniając, wspaniały wzór, który wcale nie istniał.

„Głupi nie jestem – pomyślał posłany człowiek. – A więc chyba nie nadaję się do mego świetnego stanowiska. Byłoby to dość dziwne, ale nie trzeba tego po sobie okazywać". Pochwalił tkaninę, której nie widział, i zapewnił oszustów, jak bardzo mu się podobają piękne barwy i ładny wzór.

Tak, to przepiękne – powiedział do cesarza.

Wszyscy ludzie w mieście mówili o wspaniałej tkaninie. Wreszcie cesarz zapragnął sam zobaczyć materię na warsztacie. Wybrał się więc z całą gromadą oddanych mu ludzi, wśród których znajdowali się i tamci dwaj dzielni urzędnicy, którzy już tu byli, i zastał sprytnych oszustów pracujących jak najgorliwiej, lecz bez nici i bez osnowy.

– Czyż to nie wspaniałe? – powiedzieli dwaj dostojni urzędnicy. – Niech jego cesarska mość tylko spojrzy, co za wzór, co za barwy! – I pokazywali puste krosna, gdyż myśleli, że wszyscy prócz nich widzą tkaninę.

„Cóż to?– pomyślał cesarz. – Nic nie widzę. To straszne! Czyżbym był głupi? Czy jestem niewart tego, aby być cesarzem? To byłoby najstraszniejsze, co mi się mogło przytrafić".

– O tak, to jest bardzo piękne – powiedział cesarz – raczę to bardzo pochwalić! Kiwnął z zadowoleniem głową i zaczął oglądać puste krosna, bo nie chciał powiedzieć, że nic nie widzi. Cały orszak, który otaczał cesarza, patrzał i patrzał, ale także nic nie widział, wszyscy jednak mówili tak jak cesarz:

– Tak, to jest bardzo piękne.– I radzili monarsze, aby szaty z tego nowego wspaniałego materiału włożył po raz pierwszy na wielką procesję, która miała się wkrótce odbyć.

– Magnifique, zachwycające, excellent! – powtarzał jeden za drugim, i wszyscy byli niezwykle radzi.

Cesarz ofiarował każdemu z oszustów krzyż do noszenia w dziurce od guzika i nadał każdemu tytuł nadwornego tkacza. Przez całą noc poprzedzającą procesję oszuści nie spali. I szyli szaty przy szesnastu świecach. Ludzie widzieli, jak się śpieszyli, aby wykończyć nowe szaty cesarza. Wykonywali takie ruchy, jakby zdejmowali materiał z krosien, cięli wielkimi nożycami w powietrzu, szyli igłami bez nici i wreszcie powiedzieli:

– Oto szaty gotowe.

Cesarz przyszedł do nich z najdostojniejszymi dworzanami, a dwaj oszuści podnosili ramiona takim ruchem, jakby coś trzymali w ręku, i mówili:

– Oto spodnie, oto frak, a oto płaszcz! – I tak dalej. – Wszystko takie lekkie jak pajęczyna; takie cienkie, że się nic na ciele nie czuje, ale na tym polega cała zaleta tych szat.

– Istotnie – powiedzieli wszyscy dworzanie, ale nie mogli nic zobaczyć, bo przecież nic nie było.

– Może jego cesarska mość raczy łaskawie zdjąć swoje suknie – powiedzieli oszuści – przymierzymy nowe szaty tu przed tym wielkim lustrem!

Cesarz zdjął ubranie, a oszuści udawali, że wkładają na niego różne części nowo uszytych szat. Objęli go wpół tak, jak gdyby coś zawiązywali, niby to tren; cesarz zaś kręcił się i obracał przed lustrem.

– Boże, jak to dobrze leży, jak cesarzowi w tym do twarzy – mówili oszuści – Jaki wzór, jakie barwy. To wspaniały strój!

– Baldachim, który będą nieść podczas procesji nad jego cesarską mością, czeka przed domem – oznajmił najwyższy mistrz ceremonii.

– Dobrze, jestem gotów – powiedział cesarz – czy dobrze leży? – I wykręcił się jeszcze raz przed lustrem, żeby się wydawało, że ogląda swój wspaniały strój. Dworzanie, którzy mieli nieść tren, schylili się do ziemi i czynili takie ruchy rękami, jakby ów tren podnosili; a potem szli i udawali, że coś niosą w powietrzu; nie ośmielali się okazać, że nic nie widzą.

I tak oto kroczył cesarz w procesji pod wspaniałym baldachimem, a wszyscy ludzie na ulicy i w oknach mówili:

– Boże, jakież te nowe szaty cesarza są piękne! Jaki wspaniały tren, jaki świetny krój.

Nikt nie chciał po sobie pokazać, że nic nie widzi, bo wtedy okazałoby się, że nie nadaje się do swego urzędu albo że jest głupi. Żadne szaty cesarza nie cieszyły się takim powodzeniem jak te właśnie.

– Patrzcie, przecież on jest nagi! – zawołało jakieś małe dziecko.

– Boże, słuchajcie głosu niewiniątka – powiedział wtedy jego ojciec i w tłumie jeden zaczął szeptem powtarzać drugiemu to, co dziecko powiedziało. – On jest nagi, małe dziecko powiedziało, że jest nagi!

On jest nagi! – zawołał w końcu cały lud. Cesarz zmieszał się, bo wydawało mu się, że jego poddani mają słuszność, ale pomyślał sobie: „Muszę wytrzymać do końca procesji”. I wyprostował się jeszcze dumniej, a dworzanie szli za nim, niosąc tren, którego wcale nie było.

1. *superbe, charmant* (fr.) — wspaniały, czarujący [↑](#footnote-ref-2)